WICI WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK VI — POZNAŃ LIPIEC—SIERPIEŃ 1936 — NR. 7-8 (57-8)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI — Redaktor: MARJAN TURWID

MAKI I MODRAKI NA PARYSKIM BRUKU

Niezwykłe zaiste spotkanie. Na paryskim bruku znalazłem — Maki i Modraki. Wszystkiego by się człowiek tu, na bulwarach Paryża spodziewał, — niż widoku polskich kwiatów polnych. A przecież — kwiaty, którem znalazł nad Sekwaną nie były bynajmniej sztuczne. O nie! Wziąłem je do rąk i przekonałem się o tem, że barwa ich, ich krój i ich zapach — są polskie, arcypolskie, bo — wielkopolskie.

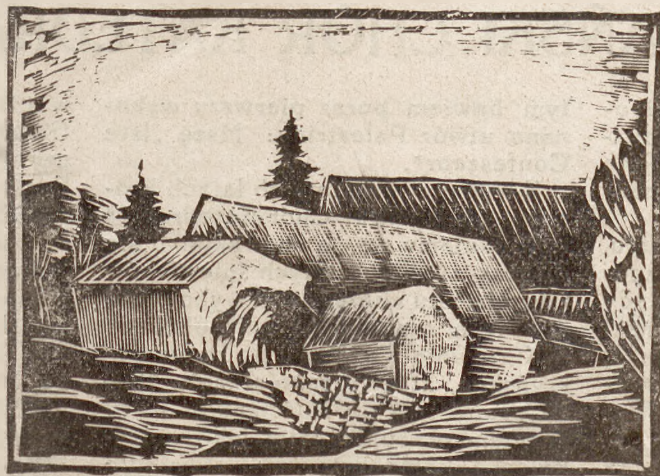
„Maki i Modraki" — to zbiorek opowiadań, które napisał Bronisław Szczebrzyc, a które ukazały się w oficynie „Polaka we Francji" w Paryżu. Trzeba to przyznać, że nasze wydawnictwa emigracyjne nieczęsto, niestety, mają charakter estetycznie wartościowy. Ich większość obliczona jest na niski poziom kulturalny emigranta. Rzecz prosta, że wydawnictwa popularne są wychodźstwu naszemu, bardzo, ale to bardzo potrzebne. Jednakże książka „popularna", to nie znaczy wcale: — tandetna. A tymczasem, gdy przyjrzymy się treści i formie publikacyj na obczyźnie wydawanych i dla emigrantów przeznaczonych, to przekonamy, się do jakiego stopnia brak poczucia odpowiedzialności wydawców i ich bezwzględna chęć wyzysku żerują na ciemnocie biedaków wygnanych „za chlebem" na dolę i niedolę tułaczki.

Przeglądałem te niezliczone: „Poradniki", „Przewodniki", „Kalendarze", wczytywałem się w artykuły, powieścidła i wierszydła przeznaczone dla emigrantów i serdeczny żal chwytał mnie na myśl o tych, co w dobrej wierze, za swe krwawo zarobione grosze, kupują tandetę i śmiecie.

Z tem większą tedy radością przystępuję do omówienia książeczki wydanej w ostatnich dniach przez wydawnictwo polskiego tygodnika dla emigracji w Paryżu. Już wygląd zewnętrzny „Maków i Modraków" wywiera jaknajlepsze wrażenie. Dwubarwna okładka skomponowana jest bardzo oryginalnie i z niemałym talentem. Projektowała tę okładkę p. Wanda Zawidzka, młoda malarka, bawiąca na studiach artystycznych w Paryżu. Układ graficzny książki dobrze świadczy o ambicjach i możliwościach małej oficyny polskiej z Saint-Honoré. Krój liter, papier słowem całość — to już nie „na handel" obliczona tandeta, ale — szczera chęć wprowadzenia na rynek emigracyjny dobrej i pięknej książki polskiej urodzonej — na emigracji.

Przyjrzyjmy się jej treści.

Autor trzynastu opowiadań ujętych w tom „Maków i Modraków" nie jest czytelnikom „Wici Wielkop." obcy. Bronisław Szczebrzyc przecież należał do tej szczupłej gromadki, która przed pięciu laty wysłała w świat pierwszy zeszyt „Wici". Jego współpraca z „Wiciami W." nie trwała jednak długo, gdyż Bronisław Szczebrzyc wyjechał na stałe do Paryża, by stanąć na czele jednego z naszych czasopism emigracyjnych. Ciężka orka na ugorze nie pozwalała Szczebrzycowi na wyłączne oddawanie się literackiej pracy artystycznej. Zaczęty jeszcze w kraju cykl opowiadań osnutych na tle legend i baśni wielkopolskich, tylko bardzo wolno mógł dojrzewać do druku. A jednak, mimo niezliczonych przeszkód — dojrzewał przecież. To samo słońce wielkiej tęsknoty, w którego promieniach rozkwitł na paryskim bruku królewski ogród „Pana Tadeusza", to samo słońce pomogło tu, na kamienistych bulwarach, wzejść teraz skromnym „Makom i Modrakom". Dedykuje je Szczebrzyc — Krainie Wielkich Dolin. Bo Wielkopolsce właśnie zawdzięczają te „Maki" swój początek. Autor tak się zwierza we wstępie: „Jeszcze jako basałyk, goniąc



Stanisław Brzęczkowski — *„Chaty"*

Ołowioryt oryginalny.

(Winieta tytułowa do IX tomu Biblioteki Wici Wlkp.)

po polach i lasach całej Wielkopolski, — wdawałem się w długie, braterskie pogwarki z owczarzami i pastuchami, którym się niejedno zwidziało i przywidziało na świecie, a którzy opowiadali mi prawdziwie cudowne legendy i bajki, w które wierzyli z siłą i mocą okrutną swych chłopskich przekonań...

. .Słuchałem bab starych, które szły po gałązki, „na drzewo“ do lasów i one mi także wiąź materiału nabajdurzyły sporą.

Słuchałem oraczy siwiuśkich, którzy szli za pługiem, z dziwną mgłą w oczach, na skutek przeżywanej w swem sercu baśni-legendy...“ —

Twory fantazji ludowej, ten surowy a bezcenny materiał, brał Szczebrzyc na swój warsztat literacki — by przetworzyć go na wartości artystyczne.

Zadanie to i niełatwe i niebezpieczne. Nic łatwiejszego, jak zerwać maki i — odjąć im ich blask. Nic trudniejszego, jak ułożyć maki w taki bukiet, by w odpowiednio dobranym wazonie wydały się jeszcze piękniejsze, niż kwitnące pośród zbóż.

Kwiaty polne, prędzej niż inne kwiaty — ulegają zniszczeniu, gdy je ręka ludzka zamierza hodować i utrwalić. Trzeba tu ręki bardzo zręcznej i, co ważniejsza lekkiej, bo kochającej.

Szczebrzyc rwał swe kwiaty nie po to, by się nimi pobawić i by je rzucić. On je zabrał z sobą jako pamiątkę najdroższą z ojczyzny na swą daleką wędrówkę po świecie.

I może dlatego właśnie, w dalekiej, obcej stronie zakwitły mu nasze kwiaty polne tak barwnie i świeżo.

Bo opowiadania Szczebrzyca nie mają w sobie nic z ckliwej i banalnej słodyczy literackich zalecanek do wsi. Jego stosunek do twórczości ludowej jest szczery i ogromnie bezpośredni. Proza Szczebrzyca jest prosta i rubaszna nieraz aż do prostactwa. Jest w niej jędrny, chwacki, chłopski ton. Ten ton wpływa również i na pracę kompozycyjną autora. Nie jest to robota skomplikowana, wyrafinowana i wymyślna, ale prosta i przejrzysta. Szczebrzycowi rośnie opowiadanie tak, jak kwiat rośnie w polu. Rośnie — jak mu kazała natura, bez opieki, pomocy i sztuczek ogrodnika.

Szczebrzyc swoich legend nie konstruuje, nie układa, on je — opowiada. Jego styl zdradza urodzonego narratora. Akcja toczy się szeroko i zmierza do celu prosto, w ścisłej zależności od motywu.

Im motyw bardziej pasionujący, tem opowiadanie lepsze. Czasem — motyw zbyt skromny — wtedy i opowiadacz zawodzi. Znajdujemy w zbiorku kilka opowiadań znakomicie zamkniętych. Znajdziemy jednak i takie, których wątek rwie się i — mimo wysiłków autora — gubi już wtedy, gdy narracja jeszcze trwa.

I tutaj leży pewne niebezpieczeństwo dla przyszłej pracy literackiej Szczebrzyca. Szczebrzyc ma dar pisania tak „jak się mówi“. Jest to wielka zaleta, jeśli idzie o świeżość i bezpośredniość opowiadania. Jakże łatwo tu jednak — wobec braku dyscypliny kompozycyjnej — wpaść w gadulstwo. Aczkolwiek w „Makach i Modrakach“ niebezpieczeństwo to jest ledwo dostrzegalne, to jednak — sygnalizuję je w trosce o przyszłe utwory autora. Nie ulega to bowiem dla mnie wątpliwości, że proza nasza zyskać może w Szczebrzycu nielada mistrza. Już bowiem w pierwszym jego zbiorku dostrzega się to, co w prozie jest tak cenne, a czego się nauczyć nie można: rytm.

Nie uronić jędrnej świeżości i potoczystości prozy — a jednocześnie zakuć ją w żelazną konstrukcję kompozycji, oto — zadanie Szczebrzycowego warsztatu na najbliższą przyszłość.

Jak już napisałem — tematycznie wiążą się opowiadania Szczebrzyca z Krainą Wielkich Dolin. Mamy więc legendy z okolic Międzychodu, Strzałkowa, Bienieszewa, Pleszewa, Wrześni, Bydgoszczy, Inowrocławia i Sulmierzyc. Większość tych legend dotąd literacko opracowaną nie była i Szczebrzyc daje w zbiorze swym materjał ciekawy i naogół szerzej nieznany. Rwał był bowiem swoje kwiaty przeważnie w tych okolicach, przez które naukowa ekspansja etnograficzna i eksploatacyjna jeszcze nie przechodziła.

Dobrze się stało, że „Maki i Modraki“ Szczebrzyca wykwitły właśnie tu, na tych bulwarach, przez które nieprzerwanie przelewa się fala polskiego wychodźstwa. Tu bowiem, bardziej ich potrzeba, niż gdziekolwiek indziej. Ileż tu serc ludzkich zapala się tęsknotą do: „...tych pól malowanych zbożem rozmaitem...“ Ileż tu — po latach daremnej tęsknoty — jałowieje serc polskich. Niech stęsknione oczy polskiego tułacza rozradują się widokiem barwnych kwiatów polnych. Niech im „Maki i Modraki“ Bronisława Szczebrzyca staną się serdecznem pozdrowieniem dalekiej Ojczyzny.

Marian Turwid.

Paryż, w sierpniu.

KONRAD LASEK:

POZNAŃSKI CHÓR KATEDRALNY

Renesans muzyki kościelnej, zapoczątkowany przez opactwo benedyktyńskie w Solesmes i przez Ratysbonę znalazło szczery oddźwięk w Poznańskim Chórze Katedralnym.

Wiekowa tradycja tego zespołu, która datuje się od 15 wieku rozpoczęła nową erę od 1881 roku kiedy dyrygent ówczesny ks. dr. Surzyński wycofuje orkiestrę, głosy kobiece, a wprowadza wzamian głosy chłopięce i utwory nieśmiertelnego Palestriny.

W „Muzyce Kościelnej“ (nr 12 z 1884 r.) pisze ks. dr Surzyński: „Tegoroczna uroczystość Niepokal. Poczęcia Najśw. M. P. należeć będzie do najważniejszych dni w historji muzyki kościelnej w Polsce. W dniu tym bowiem poraz pierwszy wykonano utwór Palestriny: Mszę „Iste Confesseor“.

Z wydanej w ostatnich latach broszury „Poznański Chór Katedralny“ dowiadujemy się, że chór składał się ówczas z óśmiu stałych śpiewiaków i dwudziestu chłopców, — wykonywał utwory à cappella obce i polskie.

Kierownictwo chóru po ks. dr Surzyńskim, który przeniósł się w 1894 na probostwo do Kościana pod Poznaniem pracując dalej jako muzykolog i kompozytor, — przypadło organiście katedralnemu p. Bosławowi Dembińskiemu, który piastował ten urząd do śmierci do 1914 r.

Nominację na dyrygenta Poznańskiego Chóru Katedraln. otrzymuje w 1915 roku obecny dyrygent ks. dr Gieburowski, który właśnie był ukończył studja muzyczne w Ratysbonie, Berlinie i Wrocławiu. Umiejętna praca dyrygenta nad chórem wydała w ostatnich latach wielkie plony. Sukcesy osiągnięte w Polsce i zagranicą, głosy znakomitych krytyków, jak: Jirak, Haba, Marks (rektor akad. muz. w Wiedniu) i innych, pozwoliły go stawiać w szeregu pierwszych, najwybitniejszych chórów o sławie światowej.

Wartoby się chociaż w krótkości zastanowić naczem polega doskonałość Poznańskiego chóru à cappella, który może być wzorem dla innych chórów. — Chór Katedrajny w Poznaniu liczy dziś około 24 mężczyzn

i 40 chłopców (soprany i alty). Nauka w przedszkolu oparta jest na wykształceniu głosowem i muzycznem, na biegłem czytaniu nut a livre ouvert — bez pomocy instrumentu!

Doskonałość rozwoju bel-cauta chóru polega na dwóch zasadniczych elementach: na ilości pracy i jakości tej pracy.

Olśniewający artyzm włożony w sztukę interpretacyjną pozwala z tą samą swobodą wykonywać starych mistrzów szkoły hiszpańskiej, rzymskiej, holenderskiej czy polskich mistrzów polifonji jak Gomółki, Zieleńskiego i innych, czy wreszcie współczesnych kompozytorów.

Nad doskonałością interpretacji, każdego utworu P. Ch. K. czuwa kompozytor i wirtuoz w jednej osobie Msgr ks. dr Wacław Gieburowski.

Żywiemy nadzieje, że ten świetny zespół, który godnie reprezentował polską sztukę zagranicą odniesie i zasłużone laury we Frankfurcie nad Menem na światowym festivalu muzyki kościelnej.



WŁADYSŁAW FRYDRYCH: „CHATY" (linoryt oryg.)

ALFONS SZYPERSKI:

O WIELKOPOLSCE I WILNIE

Spokojny rolniczy tryb życia w Wielkopolsce, ciągły postęp gospodarczy, jednolitość szczepowa, brak większych wstrząsów, najazdów czy ruchów społecznych, dostatek i stara obyczajowość — wyhodowały tu lud zasiedziały, nieżądny nowinek, nieskłonny do wędrówek. Nie dziwmy się wcale, że wśród Polaków w Abisynii niema ani jednego „murzyna" znad Warty, mimo że interesy dobrze tam szły i zmysł organizacyjny u negusów popłacał.

Ale, ale bądźmy sprawiedliwi i nie wymagajmy od Wielkopolski za dużo. Niektórzy publicyści, charakteryzując rolę kulturalną tej ziemi, zapominali o bardzo elementarnej prawdzie matematycznej. Oto ona: właściwa Wielkopolska np. w XVI wieku w stosunku do obszaru całości państwa polskiego przed rozbiorami przedstawiała zaledwie dwudziestądrugą część. Trzy wieki wcześniej byłby

to stosunek 1 do 30! żółw do słonia! Innemi słowy: na 22 dajmy na to Kochanowskich musiałby tylko jeden urodzić się koniecznie Wielkopolonusem. Inaczej byłby ten grunt nadwarciański naprawdę ugorny i niepoetycki. Ależ dotąd żył na szczęście Kochanowski pierwszy, dlaczego Małopolanin, pytanie to zostawmy antropozofom. Co gorsza, mimo to już powiedziano, że Bóg ukarał Polaków poetami.

Pamiętajmy jeszcze, że właściwa Wielkopolska czyli województwa: poznańskie i kaliskie, t. j. powiaty poznański, kościański, wschowski i wałecki oraz kaliski, gnieźnieński, kcyński, nakielski, koniński i pyzdrski — była większa od pruskiej prowincji poznańskiej, a więc znacznie większa od dzisiejszego województwa poznańskiego!

Ludności zaś miały te dwa województwa w XVI wieku gdzieś 28 część zaludnienia całego państwa. Jeszcze dziś województwo poznańskie stanowi zaledwie jedną piętnastą całości terytorjum, a ludności liczy jeno $6^1/_2$ $^0/_0$ ogółu. Jednakowoż Wielkopolska w najszerszem pojęciu, t. j. z ziemią Sieradzką, Wieluńską, Łęczycką, Dobrzyńską, Brzeską i Kujawską czyli obszar olbrzymi, sięgający po Częstochowę, Łódź, Kutno — istotnie nie zaważyła jako całość w rozkwicie duchowym Polski w tej mierze co Małopolska czy Kresy Wschodnie. Rozwój duchowy nie był na tych terenach tak bujny i eruptywny, a conajmniej nie był taki sam jakościowo jak na tamtych połaciach kraju. Linja graniczna odmiennego jakoby posiewu talentów leży gdzieś, bardzo ogólnie określając, między Warszawą a Krakowem.

O ile chłopak wielkopolski niechętnie ruszał z miejsca i kolonizował tylko najbliższe okolice, o tyle inteligencja szukała dalszych środowisk pracy. Szukała prężniejszych centrów umysłowych, gdzie zwykle dojrzewała i krzepła duchowo Umysły pogłębiały się, jeśli nie w Krakowie, to we Lwowie, w Wilnie lub w Warszawie, miastach większych i uniwersyteckich. Niejeden Polanin wynosił z tej sielskiej płaszczyzny, jakby dla kontrastu, korsarską duszę włóczęgi, zawadjactwo górala, temperament mazowiecki. Po jej równych polach chadzali też najbardziej krętemi ścieżkami arcyromantycy. Słowem galerja Wielkopolan przedstawia większą rozmaitość typów niżby się na pozór wydawało.

W wiekach młodzieńczego rozkwitu Wielkopolski i najsilniejszej ekspansji kulturalnej widzimy jej przedstawicieli także w odległem Wilnie. Ta najdalej na wschód wysunięta strażnica polskości przyciągała Polaków z innych dzielnic jako bardzo czynne ognisko reformacji i kontrakcji jezuitów oraz jako miasto uniwersyteckie. Także królowie i książęta lubili tu rezydować, mając w swem otoczeniu i kancelarjach różnorakich krajowców. Już astronom *Wojciech z Brudzewa* przenosi się tam z Krakowa jako sekretarz wielkiego księcia litewskiego Aleksandra, *Jan z Koźmina* jest kaznodzieją nadwornym Zygmunta Augusta a jezuita i polemista *Stanisław Grodzicki* z Poznania wykłada przez szereg lat w akademji wileńskiej. Profesorem seminarjum i później Szkoły Głównej Wileńskiej jest w 18 wieku uczony teolog *Gwilhelm Kaliński* itd. Serdecznie przyjmowali Wilnianie występy teatralne *Bogusławskiego,* przebywa tu i *Kiliński,* ale mężami opatrznościowymi dla Wilna mieli się stać dopiero *bracia Śniadeccy.*

Po okupacji napoleońskiej w roku 1812 zostaje Jan Śniadecki członkiem zarządu miasta, jest rektorem uniwersytetu, który reprezentuje wobec cara Aleksandra I i Napoleona przez lat osiem. Organizuje naukę wileńską, reformuje uniwersytet, wygłasza, zawsze pełen troski o język ojczysty, wytworne przemówienia, słynne swego czasu w Wilnie. Opiekuje się gorliwie młodzieżą wileńską, pisze podręczniki, publikuje prace źródłowe z dziedziny astronomji, matematyki i geografji. Był to wzorowy administrator, człowiek energiczny, nieugięty, sprężysty i wytrwały.

Zmarł Jan Śniadecki w Jaszunach pod Wilnem.

Brat jego Jędrzej, chemik i fizjolog, głęboki uczony, poświęcał się sprawom społecznym, walczył z obskurantyzmem, przewodniczył znanemu Towarzystwu Szubrawców, pisał cięte satyry, należał do najpopularniejszych ludzi w grodzie Giedymina. Jako znakomity lekarz był wzywany i do Warszawy, a gdy w roku 1831 wybuchła w Wilnie cholera, on kieruje akcją Komitetu Pomocy.

Współcześnie ze Śniadeckimi żyjącego wydawcę ich dzieł, zasłużonego księgarza - typografa, erudytę i organizatora ruchu wydawniczego w wilnie, Józefa Zawadzkiego, który odegrał tam podobną rolę jak Żupański w Poznaniu, oddajmy, wbrew temu co stale powtarzają o jego koźmińskiem pochodzeniu bibljografję — ziemi kowieńskiej.

Przechodząc do lat ostatnich nie możemy pominąć *Witolda Hulewicza.* Hulewicz działał w odrodzonem już Wilnie jako organizator na polu kulturalno-artystycznem, był założycielem i redaktorem Tygodnika Wileńskiego i duszą wielu imprez literackich. Sam poeta i literat. Klimat duchowy wileński potęgował aspiracje kulturalne zrzeszenia literatów poznańskich, których prezes, dr Zenon Kosidowski, utrzymywał kontakt z Hulewiczem. Dziś Pałac Działyńskich organizacyjnie wyprzedził Wilno. Prawda, że Poznaniowi brak uroku tego zapomnianego — jak Niemcy Wilno nazywają — miasta sztuki, sztuki pobudzającej do twórczości. Brak celi Konrada, owego symbolu wielkiej tradycji i najwyższych wzlotów w krainę piękna.

Łączyły więc Wielkopolskę węzły duchowe z Wilnem. Wiadomo też ile ta dzielnica zawdzięcza Wilnu. Wielkopolskie np. tajne związki młodzieży, jak Marjanie, Filomaci, kółka Tomasza Zana itd. karmiły się wydatnie ideologją młodzieży wileńskiej, wypłynęły wprost z ducha i programu wileńskich Filomatów.

FRANCISZEK GROTT:

NASZA MŁODOŚĆ

Dni nasze szare, jak dym i jak rzeki nocą
przelewają się sny o chlebie, bezrobociu — —
Choć ręce są gotowe i dusze ofiarne —
to, co wisi przed nami jest mgliste i czarne — —
W domu bolą nas oczy — każdy zda się mebel
nas oskarża i patrzy zasępionem niebem —
chodzimy sami, niemi — święci z dawnych rycin
i jest nam półwesoło, jesteśmy półsyci — —
Co rano wierzymy, tkwiąc w cierpliwych ogonkach
i wypełniając sobą kolumny statystyk —
w wieczór śnimy wśród reklam, jak na kwietnych łąkach
o sercu uciszonem pod koszulą czystą — — —
Czasem przyjdzie taki dzień
w eksplozji słońca, w rozśmianych światła kaskadach,
nad smutkiem tęczą stanie, wkrąg rozpołudni się
i długo w dobrych zorzach w zachód lubi padać — — —
jest nam wtedy weselej, chociaż znów syci — —
A tak — dni szare, jak dym i jak rzeki nocą
przelewają się sny o chlebie, bezrobociu

STEFAN SZAJDAK:

W POCIĄGU

Poznań: peron.
Rodzice, siosta i brat.

Rozmowę
strzygły nożyce lokomotywy
i odlot myśli.

Stefciu...
Złamane zdanie wisiało na wargach siostry
jak dzień u stropu,
upiękniony pożegnaniem.

Miłość
matczynna półkolnie
spadała od chustki
w wagon.

Smutny ptak
ciągle wołany chutką
kumatczynnie odfruwał jak pejzaż —
lecz mocno schwycony dłońmi tłumaczeń
za Wrześnią składał skrzydła.

Rytmem, rytmem
przyklejały sercowe staccata:
ból —
odszynne: przestrzeń kołom.

Kutno — Warszawa — Lublin
zmiatały nostalgję i przestrzeń.

Pociąg
wciąż
jechał
i
rytmem
pruł
noc.

Przed Kowlem
rozwierał się Wołyń jak dymny kąt.
Słuchaj:
Krzyk czajek ogłasza Wołyń.

JANINA DERYNŻANKA:

GAŁĄŹ JABŁONI

Kiedyś
nabrzmiałe sokiem owoce dojrzewać będą w gorącym upale
i zawisną ciężarem sytym i dostałym
u zmęczonych gałęzi.
Teraz,
gdy idę sadem,
stopa nieumyślna potrąca krople rosy,
które jak łzy rzęsiste na trawę upadły —
drzewa stoją w bezruchu wiosennym i radosnym,
drzewa rozkwitłe białem i różowem kwieciem.
W obie dłonie
ujęłam gałąź nademną jabłoni
i przytuliłam w czułem, ostrożnem objęciu.
Świat się wemnie i pozamną w smutku roztrwonił —
wiosenny świat...
I wiem:
jak ptak
wzniesie się gałąź, gdy ją od rąk moich uwolnię,
i odtąd
wszystko mi będzie takie obojętne
i ciche jak spadające zwiewne płatki kwietne
z gałęzi różowej jabłoni.

LEONARD TURKOWSKI:

SPACER

W dal idziemy przed siebie wąską dróżką wśród łąki
rozśpiewani milczeniem kochanem —
sami, sami, szczęśliwi, jak dzwoniące skowronki,
gdy nad ranem
jest każdy z nich panem.

Słońce grzeje... Niedolę porzucimy okrutną! —
wysuszymy na słońcu płakanie! —
przystaniemy i cicho rozłożymy, jak płótno
na dywanie
łąk — nasze kochanie...

Niech się słońca napije — kilka kropel — niewiele —
niech się słońcem choć trochę rozedni!
Zostawimy je tutaj, jak słoneczną niedzielę,
by pójść biedni
znów w tydzień powszedni.

A na dróżce za sobą rozsiejemy cierpienie —
niech się ostem kolczastym rozścieli!
By źli ludzie nie przyszli tuż pod nasze schronienie
i nie śmieli
tknąć naszej niedzieli.

STANISŁAW HELSZTYŃSKI:

CHARAKTERYSTYCZNY SPÓR

Uprzejmości p. Władysława Berkana zawdzięczam garść szczegółów o długoletnim zatargu finansowym, jaki miał z głośnym pisarzem. Zaczęło się idealnie: Przybyszewski zamówił w r. 1896 ubranie w firmie Berkana w Berlinie. Właśnie miał jechać do Lutosławskiego w Playa de Mera, chciał być dobrze ubrany. Gospodarz przysłał pieniądze na drogę, przyszły turysta miał humor. „Widocznie nie był zwyczajny noszenia porządnych szat — mówi p. B. — bo gdy się u mnie w nowe rzeczy ubrał i w zwierciadło spojrzał, to ucieszył się jak dziecko, mówiąc, że „jeszcze tak dobrze ubranym nigdy nie byłem".

Klient wpłacił jedną trzecią należności gotówką, resztę, zdaje się, niecałe 200 Mk, miał spłacać ratami. I tu zaczęła się przykra historja. Poeta ani rusz z gotówką się nie zjawiał. Już z Hiszpanji prosił o prolongatę weksla, potem wyjechał do Norwegji, stamtąd do Krakowa, do Warszawy, do Inowrocławia, Torunia, Monachjum; p. Berkan korzystał z swych licznych rozjazdów, żeby spotkać się z dłużnikiem, udało mu się to nawet, ale nie udało się nic grosza wydobyć.

W okresie monachijskim właściciel firmy wyrobił nakaz sądowy i niepokoił twórcę „Mocnego człowieka" nachodzeniem komorników. Gdy fantowano meble poecie, umiał zawsze udowodnić, że należą do osób trzecich. Doprowadzony do ostateczności wierzyciel zażądał „manifestacji", złożenia przysięgi, że dłużnik nie ma istotnie czem należności zapłacić. To wyprowadziło wreszcie Przybyszewskiego z równowagi. Wystosował grzmiącą tyradę do p. Berkana. Wystąpiły w niej wszystkie pretensje autora do społeczeństwa. Dokument ten godzien jest przytoczenia w całości:

Wie Pan, to, co pan zemną wyrabia, to już przechodzi pojęcie ludzkie.

W oczach komornika Niemca, którego mi Pan ustawicznie nasyła, czytam po prostu zdumienie, co on ma fantować — może pierścionek ślubny, albo lichy zegarek stalowy? Albo może parę mebli, które mi żyd powierzył na spłaty, na które cierpliwie czeka?

Wy wielcy potentaci i zacni obywatele krzyczycie: Swój do swojego! — Niech mnie Bóg broni, gdybym raz jeszcze poszedł do swojego. Nie miałbym teraz tego wstydu, że artysta, tak naokoło Polski zasłużony, jak ja, musi łykać niemieckie kpiny: Donnerwetter! Was für Landsleute Sie haben!

Po śmierci artysty, to takiego biedaka wieziecie na Skałkę i głupią hecę pogrzebanych obrzędów urządzacie, a za życia dla głupich dwustu czy trzystu marek artystę polskiego na ciężki wstyd wobec niemieckich komorników wystawiacie. Gdybyć Pan jeszcze był biednym jakimś rzemieślnikiem, tobym rozumiał ten bezustanny pogrom, który pan na mnie urządza, ale pan zamożny człowiek. Magistrat niemiecki tu w Monachjum uwolnił mnie na pięć lat od płacenia podatków, a Polak, i do tego zamożny mój Landsmann, chwili spokoju mi nie daje.

Jak jakiego magnata polskiego wywłaszczają i płacą mu za szmat ziemi setki tysięcy, to wtedy niesłychane awantury, hece, wiecowanie, krzyki w niebogłosy, — a jeżeli biedny artysta polski, który jedyny przypomina Europie, że jakaś Polska istnieje, w młodzieńczej głupocie i lekkomyślności dług zaciągnie, wtedy jeden okrzyk: Bij, zabij!

A ileście Wy, Wielkopolanie, mi chleba dali za to żem polskie nazwisko na cały świat rozniósł?

700 Mk przez dwadzieścia lat mojej krwawej pracy.

Coście zrobili dla artysty, który bezustannie przypomina Europie, że i w Polsce istnieje wielka kultura umysłowa? To, że musiałem się wraz z żoną wynieść z Polski, bo praca moja była tak nędznie opłacana, iż wszystko, co zarabiałem, nie byłoby starczyło, ani w Warszawie, Krakowie, czy też Lwowie, na zapłacenie komornego i podatków.

A wstyd!

I mnie tak przed Niemcami wstyd za moich rodaków, że od ust sobie odejmę i pierwszą ratę w kwocie dziesięciu marek prześlę panu na 1-go lutego, czy regularnie będę je mógł panu posyłać, o tem nie wiem — w każdym razie pozostaje Panu pruskim prawem przynależne Mu prawo jeszcze raz drugi i trzeci przysyłać mi komornika, a co do manifestacyjnej przysięgi, to mogę ją z jaknajczystszem sumieniem co drugi dzień składać.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI
pisarz polski

Monachjum, 21. I. 13.
Bauerstr. 40 I. V.

P. S.

Niech mi pan przyśle wyszczególniony rachunek za rzeczy, które od pana wziąłem. O to usilnie proszę, inaczej płacić nie będę.

Pan Berkan nie został Przybyszewskiemu dłużny. Od 16 lat domagał się tego co mu się należało, poruszył sądy, komorników, adwokatów, biura adresowe, agentów teatralnych, wszystkie instancje i środki prawne, które stoją do dyspozycji wierzyciela, nie zdołał odebrać pieniędzy, jeszcze dłużnik śmie mu urągać? Zawsze opanowany wystosował do Monachjum karcącą odprawę. Po przeczytaniu jej, adresat donosił złośliwie, że schował ją „z przyjemnością do archiwum". Dlaczego chciał ją tak pieczołowicie zachować? Przeczytajmy ten monit i apostrofę przemysłowca pod adresem artysty:

Poznań 22. 1. 1913.

Szanowny Panie!

Moje ponowne upomnienie się o należytość widocznie rozdrażniło Pana do tego stopnia, że pisząc do mnie, zapomniał Pan o zwykłej formie, o jakiej już dziś żaden robotnik nie zapomina. Ja się w ten sam sposób Panu nie odpłacę, lecz dam radę, aby Pan zapłacił co się należy, to uniknie podobnych nieprzyjemności. Przecież nie będzie Pan żądał, abym Mu dług darował, gdyż by Go to chyba obraziło, ja zaś nie jestem na tyle bogaty, abym mógł darować. Zresztą powiedzmy sobie prawdę: gdybym tak gospodarzył, jak Pan, tobym również jak Pan żołądek ściskać musiał i był wystawiany na wdzięczność społeczeństwa. A to już wtedy jest źle, jeżeli kto pracuje na to dla społeczeństwa, aby ono wdzięcznością mu płaciło. Taka praca nigdy dobrych owoców nie wyda. Ja nawet Panu, jako Jego długoletni znajomy, szczerze i otwarcie powiem, że Jego pisarska działalność wiele złego w naszem społeczeństwie wyrządziła, co dopiero długie lata uczciwej pracy naprawić zdołają. Bądźmy przedewszystkiem ludźmi i jako tacy nie siejmy zgorszenia. Swój pisarski talent użył Pan w złym kierunku, a za to społeczeństwo nie chowa na Skałce po śmierci, gdyż duchy leżących tam mężów takiego towarzysza by nie przyjęły. Niech Pan te słowa odemnie przyjmie.

Co do rachunku, to proszę choć drobnemi ratami wpłacać i na 1 lutego pierwszej raty oczekuję. W takim razie nie będę Panu ambarasów robił, lecz skoro Pan nie będzie płacił, to będę musiał częściej ponawiać podobne seanse. Z rachunku pozostało 163 marek, a reszta są koszta i procent.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku

WŁ. BERKAN

Poskutkowało. W kilka dni później nadesłał Przybyszewski pierwsze 10 Mk z dopiskiem:

Szanowny Panie, list Pański schowałem z przyjemnością do archiwum, a na razie przesyłam 10 marek.

Z uszanowaniem
Stanisław Przybyszewski.

„Manifestacja" musiała być przykra dla Przybyszewskiego, bo po tej wymianie not niedyplomatycznych zaczął płacić, po 10 Mk miesięcznie, nie bardzo regularnie, niezupełnie przyznając latom po 12 miesięcy — w każdym razie uiszczał dług. Skarżył się przy tem na każdym odcinku przekazowym, stękał, dopisywał: Moje urodziny, to znowu: Od ust sobie odejmuję w tych przedwojennych czasach (rok 1913!). Gdy wojna istotnie przyszła przerwał wypłacanie rat.

Epopeja zakończyła się dopiero w r. 1920 za pobytu P. w Poznaniu, po 23 latach od zamówienia i otrzymania nieszczęsnego garnituru. Znając gospodarkę P., jego pożyczanie na lewo i prawo, ściąganie „podatku narodowego" od kogo się dało, wieczną potrzebę pieniędzy na życie i na narkotyki, łatwo sobie wyobrazić, co przeżywał, trafiwszy wreszcie na kogoś, kto nie chciał darować ni grosza, liczył latami procenty, dorzucał koszty, groził i egzekwował nowe groźby z całą surowością prawa. 29 listów, 80 dokumentów od władz, stokilkanaście pozycyj okolicznościowych, związanych ze sprawą oto bilans tego jakże charakterystycznego sporu.

TADEUSZ PIETRYKOWSKI:

O PIERWSZEJ POWIEŚCI WIELKOPOLSKIEJ
SŁÓW KILKA
(JERZY BANDROWSKI: „ŚLICZNA GABRYSIA")

Jerzy Bandrowski, znany jako pisarz poświęcający się z zapałem zagadnieniom regjonalnym polskich ziem zachodnich, autor „Zolojki", „Sosenki z wydm" oraz „Listów ze wsi wielkopolskiej" obdarzył nas ostatnio dziełkiem p. t. „Śliczna Gabrysia", które nazwał „powieścią wielkopolską".

Mimo szacunku i uznania, jakie mam dla autora, który kierując się jaknajwiększym objektywizmem stara się wniknąć w tajniki duszy mieszkańców Wielkopolski i polskich ziem nadmorskich, mam jednak pewne wątpliwości, czy autor mógł się pokusić na ochrzcenie „Ślicznej Gabrysi" mianem „powieści wielkopolskiej". Nie mogę mu coprawda zarzucić, by w opisie życia wsi i ludzi Wielkopolski traktował nas Wielkopolan nieżyczliwie, lub niesprawiedliwie, lecz podnieść muszę, że dzieło jego ujmuje tylko jeden i to nikły fragment życia naszej dzielnicy (opisał bowiem życie jednej huby, a nawet nie wsi), a ten fragment znów nie jest tak bardzo charakterystyczny dla naszych stosunków wielkopolskich. Co prawda spotyka się w naszej dzielnicy tu i owdzie huby, ale nie widzę powodu, by je specjalnie uwzględniać w powieści noszącej miano wielkopolskiej. Więcej nadaje się do opisania w powieści nasza wieś, a jeszcze więcej miasteczko wielkopolskie, których mamy na zachodzie Polski wielką ilość i które, zdaje się, posiadają najwięcej cech charakterystycznych, godnych utrwalenia w utworze beletrystycznym. Miasteczka nasze, reprezentujące nasz polski stan średni, jedyny w całej Polsce, wolny od miazmatów gangreny żydowskiej, proszą się poprostu o to, by na tle ich życia małomiasteczkowego, może troche zaściankowego, ale szczerze polskiego, stworzyć powieść. A dopiero taka powieść zdaniem moim zasługiwałaby na miano wielkopolskiej.

To jedno.

Pozatem miałbym kilka uwag a może nawet zastrzeżeń co do wyboru przez autora osób występujących w powieści. Dla kontrastu przedstawił nam Bandrowski w „Ślicznej Gabrysi" z jednej strony wielkopolski świat wiejski (zamożnych gospodarzy, których każe się często nazywać chłopami), a z drugiej strony przedstawicieli b. Kongresówki, lecz nie, jakby to sądzić należało, reprezentantów tego samego świata chłopskiego czy też wiejskiego, lecz inteligentów, urodzonych arystokratów, b. magnatów (Mieczysław Turski, Ryszard Turski). Naturalnie to przeciwstawienie dwu różnych warstw społecznych nie jest szczęśliwe i porównanie np. szlachetnego starca i szlagona Mieczysława Turskiego z śliczną Wielkopolanką, coprawda wykształconą, lecz troche trzpiotowatą i niedoświadczoną Gabrysią musi wypaść trochę na niekorzyć tej ostatniej. Autor według mego zdania dla kontrastu winien był wybrać przedstawicieli b. Kongresówki czy też Małopolski ze stanu chłopskiego, kolonistów niemieckich, a nie inteligentów, arystokratów, bo przecież nie z samych szlachciców składa się ludność innych dzielnic Polski. Sądzę, że porównanie między ludnością wsi wielkopolskiej a ludnością chłopską innych dzielnic byłoby więcej instruktywne, a może nawet ciekawe.



CHMURA PIOTR: „KOŚCIÓŁEK" (Drzeworyt)

O ile chodzi o bohaterkę powieści, Gabrysię, to autor zbyt drastycznie przedstawił jej zależność psychiczną od środowiska, z którego pochodzi. Przecież Gabrysia, to panna wykształcona (posiada maturę, była 2 lata w Paryżu), i o ile znam stosunki wsi wielkopolskiej — nie sądzę, by to wykształcenie nie miało mieć wpływu na jej sposób myślenia, na jej sposób wyrażania się. Zbyt jaskrawo podkreślił autor jej tkwienie w środowisku „chłopskiem" przez wkładanie w jej usta wyrazów takich jak „Ady Panie", „UuooPanie", „UuePanie", „Ady uoni (oni) mi już pieniędzy nie dadzą" itd. Albo to ciągłe podkreślanie przez Gabrysię: „ja jestem chłopka". Córka zamożnego gospodarza nie będzie się u nas uważała za chłopkę, bo wyraz „chłop" w Wielkopolsce ma zupełnie inne znaczenie, odmienne od tego, jakie mu daje autor. U nas znany jest — zresztą autor sam o tem wspomina — „chłop zpod pana" a więc służba folwarczna, zaś rolnik na własnem gospodarstwie, to już nie chłop, lecz gospodarz w całem tego słowa znaczeniu, a jego córka, to już pani, która nigdy nie nazwałaby się chłopką, zwłaszcza gdy posiada ogładę i jakie takie wykształcenie. Nie sądzę też, by dziewczyna wykształcona jak Gabrysia na sprawę miłości i małżeństwa zapatrywała się tak materjalistycznie jak to

przedstawił autor. Według mego zdania panna pokroju Gabrysi doskonale zdaje sobie sprawę z zagadnień uczuciowych. Nie będzie też uważała, że pytanie „czy kochasz?" — jest „psychologją" nie zrozumiałą dla niej i niedostępną. Oceniając motywy, dla których wykształcona „chłopka", dwudziestoletnia Gabrysia zgodziła się wyjść za mąż za sześćdziesięcioletniego starca, ale za to arystokratę i bogacza, przychodzę do wniosku, że autor m. i. chciał podkreślić jej „chłopski" sposób myślenia, według którego osoba kontrahenta w małżeństwie mało znaczy, a za to o wszystkiem rozstrzyga jego stanowisko, jego majątek. Nie jest to trafny sąd. Śmiem twierdzić, że córki gospodarzy wielkopolskich napewno kierują się innymi względami przy wyborze męża.

Zresztą pragnę podkreślić, że reszta osób z wiejskiego świata Wielkopolski (Broniś i Joasia Turkotowie) została przez autora trafnie i życzliwie przedstawiona i scharakteryzowana.

Na zakończenie muszę zauważyć, że wyraz „bida" (zamiast bieda) jest we Wielkopolsce nieznany.

Żałuję bardzo, że moją krytyką może sprawiam autorowi przykrość. Milczałbym, gdyby powieść „Śliczna Gabrysia", zresztą bardzo ciekawa, nie miała podtytułu: „powieść wielkopolska".

Sądzę, że autor, znany ze swej życzliwości dla świata wielkopolskiego, w którym żyje i pracuje, nie weźmie mi za złe mej krytyki. Pragnę, by się nie zniechęcił, lecz przeciwnie, by nas obdarzył w przyszłości jeszcze jedną powieścią wielkopolską, która będzie miała jako tło nie tylko wieś naszą, ale także miasteczko wielkopolskie. Autora stać na to.

BRONISŁAW SZCZEBRZYC:

MAKI I MODRAKI*)

Było to bardzo dawno temu.

Jeszcze wtedy, kiedy na ziemi wielkopolskiej nie było ani jednego maka ni modraka, a zboża nasze za jedyną ozdobę miały fioletowe barwy zdradzieckiego kąkolu, a na łąkach naszych, zielonych, jak sama wiosna, błyskały żółtemi swemi, rozczapierzonemi kielichami jedynie — kaczeńce.

Szaro - fioletowemi tonami barw falowały wówczas łany szumiącego, niby morze, niby gaj wielkopolskiego żyta i zielono-żółta, niby duże szmaragdowe podwórze, pełne złocisto-żółtych, wielkanocnych kurcząt — była łąka.

W one czasy, piaszczystą, gorącą od słonecznej spiekoty drogą polną, wśród kłosów do nóg mu się chylących szedł polski Pan Jezus.

— Zdałoby się tu jeszcze kilka krasnych barw położyć! — myślał sobie, rozglądając się wokoło i idąc krajem wielkopolskim w daleki świat ku niebu, — taki piękny kraj, a jednak trochę szary i trochę zamało kolorowy! Żeby tak jeszcze trochę czerwieni lub lazuru niebieskiego mój ojciec Stworzyciel przyćpił na ustrojenie tego zakątka ziemi, — ady toby i u mnie na rajskiej niwie lepiej nie wyglądało! Ale skąd tu wziąć farby na tylachny świat? Bestja, nawet u nas, w piotrowych aptekach podrożała, a skąd dopiero tutaj na ziemi.

Tak to sobie medytował polski Pan Jezus i szedł a szedł, krocząc sporo bo to i gorąc trapił niemiłosierny, a słonyszko prażyło nie litościwie, a piach palił bose nóżki i pot wielkiemi kroplami spadał ze skroni Pana Jezusowej.

Ale nie o tem rozmyślał boży wędrowiec. Wszech miłujące jego serce zastanawiało się nad tem, jak tu kraj ludziom upiększyć a farbami okrasić.

Idzie tak, idzie, a tu za jednym zakrętem patrzy i widzi cudny i wzruszający obrazek:

Oto na drożce, pod szumiącą ścianą żyta siedzą sobie śliczne, miłe dziewczątka i z płaczem wielkim tulą się do siebie.

Jedna z nich miała na sobie czerwoną jak krew lub jak róża spódniczkę, a druga niebieski czy szafirowy jak niebo samo lub rzeka głęboka, staniczek.

— A czegóż to płaczecie dziewuchy moje? — zapytał je dobrotliwie boży wędrowiec, który nigdy nie mógł patrzeć obojętnie na płacz ludzki, a zwłaszcza płacz dziewczęcy, bo zaraz też sam płakać musiał.

Dziewczęta zapłoniły się jak różyczki na słońcu i nic nie odrzekły,

— A jak wam też na imię? — zaczął z innej beczki Pan Jezus, widząc, że się inaczej z polską niewiastą nigdy nie dogodo.

— Mnie Kachna! — szepnęła starsza, w czerwonej, jak krew spódniczce, — a jej Marychna! — dodała wskazując na siostrę.

— Ładnie was w domu nazwali — przytwierdził Pan Jezus — ale nie musicie płakać, bo sobie sukienki na nic zmoczycie!

Wybuchnęły płaczem na nowo.

— Pewnie rodzice was wyłajali lub macocha jeść nie dała, albo opiekunowie z domu wypędzili! — przemawiał do nich troskliwie, głaszcząc je po świeżych ślicznych, ale zapłakanych buziach.

— Ooo, moiściewy, jeszcze gorzej! — jęknęły obie, zanosząc się od płaczu jeszcze głośniej.

— No, co? Gadajcież-że, moje wy płaczące dziewuchny, może wam co dobrego doradzę i jako pocieszę! — serdecznie je do zwierzeń zaczął Pan Jezus zachęcać.

Wreszcie starsza z nich, Kasia podniosła głowę i poprzez zabeczane palce patrząc w litościwe źrenice tajemniczego pielgrzyma wyrzekła nieśmiało:

— Mnie nie chciał Walek!

— A mnie Józek! — szepnęła za siostrą przez łzy Marysia.

Tu was boli! — pomyślał sobie polski Pan Jezus, ale że był wszelkiej niedoli, a zwłaszcza bólowi smętnemu serca człowieczego bardzo współczujący, więc i nad dziewczętami się litować zaczął, a głaskać po buziach, a przemawiać dobrotliwie i mądrze, że wnet płakać przestały.

Zasłuchały się wnet w boże słowa, zawiesiły się oczami u bożych ust i piły z nich, jak te pszczółki, nektar prawdy, pociechy i ukojenia.

Zaczęły mu też ze swej strony skarżyć się na dolę i niedolę swą: były sierotami, nie pamiętały już rodziców wcale, lecz żyły dobrze, przykładnie, po bożemu przez całe swoje młode lata, jak Bóg przykazał.

Mieszkały w małej chałupeczce po rodzicach, na skraju wsi, były ładne i świeże, więc mogły się podobać. To też w obu zakochali się dwaj bracia, sołtysowi synowie: Walek i Józek i nuże palić do żeniaczki. A kiedy dziewczęta po długim oporze serca im swe oddały — dziś oto obaj je porzucili i do ołtarza powiedli drugie, brzydkie wprawdzie, ale bogate.

Uczynili to ze zemsty, że swych wianeczków przed ślubem oddać im nie chciały! A teraz taki ból, taki wstyd! Wieś z nich sobie kpi i je przedrwiwa.

Na te gorzkie wspomnienia znowu rozkrwawiły się serca dziewczęce i rozpłakały się dziewczęce oczęta.

Poszłybyśmy w daleki świat — powiedziała młodsza — między obce i nieznane, tylko nam żal tych pól i łąk naszych, tych zbóż i kwiatów.

— Żal wam zbóż i kwiatów — pomyślał sobie dobry Pan Jezus — boście same jak zboża i kwiaty, i kiedy tak rozmyślał, nagle przyszła mu dziwna myśl do głowy.

FLORJAN JERNAS:

Ballada o rybaku i topielcu

Raz o północy,
Zgasły gwiazdy jak zdmuchnięte
I w rzecze [świece
Zakotłowało,
Zakipiało,
Zawrzało...

I z wody wypłynęli topielcy.

Piaszczystym brzegiem,
Szeregiem
Szli do rybaka —

Szli topielcy
O brzuchach garbatych,
Pękatych, nadętych —
O oczach szklanych
I podpuchniętych —
W sukniach zmiętych
I mokrych frakach —
Do rybaka· Do rybaka.

A księżyc dobry i złotem wzdęty
Mył im natryskiem
Omulone pięty...

Stanęli przed chatą rybaka — — —

Sieci z palów pozdejmowali,
Sznurki potargali,
Oczy porozwiązywali,
Porozpuszczali —
I z strzępów powrozy
Poukręcali — — —

Rybak spał twardo,
A księżyc mu sypał,
Łuski na oczy...

Przyszli do niego topielcy
Wielcy
I mali —
Śliskiemi rękami
Go dotykali
I po oczach głaskali...

I ze snu go zbudzili —
Z domu wyprowadzili,
A ręce przywiązali
Do pali!...

I krzyczeli nad nim wzgardliwie,
Napastliwie,
Złośliwie:

On w głębie zarzuca sieci
I kradzie ryby i raki. —
On potopione wyławia dzieci, —
On plądruje na dnie rzeki
I topielców wyciąga! —
On wiecznemu odpoczynkowi
Urąga!... —

I wszystkie jego grzechy
Twarde jak orzechy
Ciskali mu w twarz!...

I odprawili nad nim sąd —
I skazali go na śmierć
Przez powieszenie. — — —

Ku płaczącej wierzbie
Ruszył orszak ponury —
Prowadziły duchy rybaka
Popętanego w sznury — — —

Rybak o życie topielców prosił,
Błagał, zaklinał,
Że odtąd będzie młócił i kosił— — —
Ale go nie słuchali —
Śmiali
Się z niego,
Drwili
I kułakami
Bili — bili — bili — — —

I właśnie księżyc
zanurzył się w chmury,
Gdy mu na szyję zakładali sznury...

A gdy mu silnie ściągnęli więzy,
Rybak na brodę wywiesił język,
Zczerwieniał,
Poseplenił
I skonał...

A kiedy świtem noc przybladła,
W sinych mokradłach
Tłum żab się rozkumał:
Nasz rybak umarł — umarł...

JOLENTA BRZEZIŃSKA:

POSADA

Czytała jeszcze, ale tylko oczyma.

Duszna atmosfera południowej godziny rozleniwiała umysł.

Najbliżsi sąsiedzi zamknęli książki i podnosi się z hałasem.

Spojrzała po sali Przepełniona jeszcze przed chwilą, pustoszała gwałtownie.

Podniosła się ociężale, oddała książkę i pozostawając nieco za innymi wychodziła powoli. Na korytarzu obejrzała się. Nikogo już za nią nie było. Ostatni maruderzy zbiegali po schodach jakby ich kto gonił. Odpięła trzewiki i pościągała wysnute na piętach pończochy.

W szatni był jeszcze tłok. Odebrała swą „lisiurę" i z trudem w ciasnocie wciągnęła.

Na ulicy chlapanina. Wilgotny chłód przeniknął ją całą. Teraz dopiero odczuła ciepło jakie panowało w czytelni.

Poszła Placem i Wielką, aby wyjść na redakcję. Mokry śnieg prószył i tajał zaraz na chodnikach. Omijała starannie tworzące się bajorka, ale nogi miała już mokre.

Przed „Piękną Panią" przystanęła. Pończochy nie miały cen.

— Muszą być drogie — pomyślała z żalem i spojrzała na swoje oblicze.

Zrudziały pluszowy płaszcz z nieudolnie wszytemi rękawami i uporczywie rozłażącym się kołnierzem, przypomniał jej udrękę kunsztu krawieckiego. A była dumna z tych umiejętności. Wyprostowała się też zaraz, spojrzała raz jeszcze i poszła dalej. Wn t jednak w poczuciu całej swojej nędzy pochyliła się znowu jak zawsze.

Jak zwykle zatrzymała się dopiero przed redakcją. Ludzie tłoczyli się przed wystawionemi w oknach gazetami. Przecisnęła się z trudem i poszukała ogłoszeń. Przebiegła wzrokiem kolumnę „Wolnych miejsc".

— Jest coś — spostrzegła.

— Tobyście, jak te zboża i kwiaty chciały pozostać wrosłe między swemi, na polach waszych? — zapytał je.

O tak! Miłościwy! Chciałybyśmy zostać tutaj koniecznie, jako te kwiaty na łące, jako te zboża na polach! Żeby to tak tylko można! — zawołały radośnie, garnąc się ufnie ku bożemu sercu.

— O można! Czemu by nie! wyszeptał boży wędrowiec, a więc bądźcie jako te kwiaty na zawsze!

I wyciągnął nad niemi swe słoneczne, boskie dłonie, co same były jako kwiaty, pobłogosławił klęczące przed nim dziewczęta i w jednej chwili już nie było na świecie ni Kachny ni Marychny, za to śliczne, nieznane dotychczas na niwie wielkopolskiej kwiatki unosiły swe główki dziękczynne przy stopkach Pana Jezusowych.

Jeden kwiatek miał sukienkę czerwoną jak krew, śliczną, szeroką jak spódniczka kachny — był to mak! Zaś drugi miał na sobie modry, czy niebieski gorsecik Marychny. To był modrak.

Popatrzył na cudowne kwiatki z wdzięcznym uśmiechem Boży wędrowiec i udał się w dalszą drogę ku niebu, zaś wielkopolska ziemica od tej pory kwitnąć zaczęła kardynalską czerwienią gorejących jak purpura maków i przeczystym lazurem niebo w sobie odbijających modraków.

---

*) Opowiadanie tytułowe ze zbiorku nowel, który ukazał się ostatnio w oficynie „Polaka we Francji" w Paryżu.

— Inteligentna, kulturalna, przystojna...“ Jak matrymonjalne. Inteligentna? Kulturalna? Lepiej nie chodzić. Bóg wie kogo tam chcą mieć. Przystojna? Nie, nie pójdę. „...panna...“ Stuprocentowa. „...potrzebna na wieś...“ Toby mi się przydało. „...na majątek jako kasjerka.“ Liczyć umiem.

— Pójdę.

— — — — — — — — — —

Gabinet pana dyrektora był tak elegancki, że chciała się cofnąć, ale było już zapóźno. Przypomniała sobie tyle daremnych bieganin i żałowała że przyszła.

Pan dyrektor obrzucił ją badawczem spojrzeniem i podał jej krzesło.

To ją onieśmieliło jeszcze bardziej.

— Pani w sprawie ogłoszenia?

— W sprawie ogłoszenia.

Pod ścianą terkotał Remington. Ładna utleniona stenotypistka wystukiwała monotonny, suchy rytm.

Pan dyrektor zapalił papierosa.

— Bo to proszę pani, sprawa ma się tak — zaczął i urwał.

— Pozbędzie mnie.

— Tej kasjerki poszukuje mój przyjaciel. Pani studjuje? — spojrzał na jej czapkę.

— Dawno?

— Trzeci rok.

— Na jakim wydziale?

— Humanistycznym.

— Szczagólną sympatję mam dla tych studjów.

Nie wiedziała co sądzić o tem oświadczeniu.

— Więc wracając do sprawy. Jak pani wie z ogłoszenia, posada kasjerki. Posada na wsi.

Przerzucił jakąś kartkę na biurku.

— Warunki takie — cedził zwolna. — Miesięcznie przy wolnem utrzymaniu trzysta złotych, — spojrzał na nią, i — prócz tego — ciągnął wolno — każdej chwili konie do dyspozycji.

Rozparł się wygodnie w fotelu, zaciągnął papierosem i poprzez kłęby dymu obserwował kandydatkę na kasjerkę.

— Zgodzi się — pomyślał pan dyrektor.

— Sądzę ciągnął — że przypadnie pani memu znajomemu do gustu.

— Będę się starała być sumienną pracownicą.

Pan dyrektor uśmiechnął się.

— Człowiek w sile wieku — ciągnął. — Wdowiec. Przystojny. Pani bardzo młoda?

— Co mnie to obchodzi! Jak matrymonjalne — przypomniało jej się ogłoszenie.

— Dwadzieścia dwa — odparła.

Pan dyrektor spojrzał zadowolony.

— W sam raz. Będzie mu się bestyjka podobać. Lubi czarne. Tylko to ubranie! Lili weźmie ją w obroty.

Jasnowłosa panna Lili pracowicie wystukiwała arkusz po arkuszu.

— Człowiek niestary. Niżej czterdziestki — ciągnął dalej. — Przystojny jak mówiłem. Majątek ma ładny. Ślicznie położony.

Zapalił nowego papierosa.

— Sądzę że się pani będzie okolica podobać. No, i oczywiści zgodzi się pani?

Uśmiechnął się i zaciągnął z zadowoleniem.

— Naturalnie, że się zgodzę — odpowiedziała. — Ale co mnie obchodzi



Romuald Bogaczyk: „Głowa" (lin. oryg.)

okolica — pomyślała.

— Jeśli tak proszę pani, to możemy omówić jeszcze kilka drobnych szczegółów. Dostanie pani tytułem zaliczki trzysta złotych.

— Starczy jej na początek — dodał w myśli i zmierzył ją od ściapanych trzewików po wyszarzałą czapkę.

Zdawało jej się że śni. I ona nie miałaby się zgodzić?

Maszyna terkotała. Białe, delikatne ręce utlenionej panny Lili biegały niestrudzenie po klawiszach. Jednostajny suchy stuk na sekundę ustał. Lewa ręka zawisła w powietrzu, prawa wyciągała zapisany papier, i kiedy prawa zakładała świeżą kartkę, lewa stukała już na nowo.

— Nie szłoby mi tak sprawnie — pomyślała.

— Proszę pani — ciągnął pan dyrektor. — jak nadmieniłem jest to wdowiec. Ma dwoje dzieci. Drobiazg. Cztery i pięć lat. Pani lubi dzieci?

— Bardzo.

— Otóż chodzi o to, żeby pani w wolnych chwilach poza pracą zaopiekowała się temi dziećmi. Pani rozumie dzieciom brak matki. Sądzę, że pani przepracowana nie będzie. Jest tam pomocnik w kasie. Biegły. Będzie się pani mogła nim całkowicie wyręczać.

Poruszyła się.

— Jeśli się podejmę obowiązków, chcę je wypełnić. Nie mam zamiaru nikim się wyręczać. Za co brałabym pieniądze? Dziećmi mogę się oprócz tego zająć.

Pan dyrektor uśmiechnął się.

— Różnie, różnie może się zdarzyć. Może zajść potrzeba.

Zadusił niedopalonego papierosa i sięgnął po nowego.

— Co do dzieci, to też nie tak okropnie — mówił dalej. — Jest tam wychowawczyni. Obowiązki pani redukowałyby się przedewszystkiem do strony uczuciowej. Chodzi jednak o to...— pan dyrektor zaciągnął się, — chodzi o to, ...żeby pani zastąpiła nietylko dzieciom matkę.

Spojrzała pytająco.

Pan dyrektor sięgnął po kartkę leżącą na biurku.

— Jest jak mówiłem... — obejrzał ją dokładnie, — wdowcem. Chodzi o to... — położył papier zpowrotem.

— Pani rozumie, mężczyzna w sile wieku, bez żony, bez odpowiedniego towarzystwa kobiety... — zapatrzył się w żarek papierosa.

Zdawała się nic nie rozumieć. Siedziała bez ruchu.

Pan dyrektor obserwował uważnie cieniutkie pasemko dymu.

Utleniona stenotypistka spojrzała na nią nie przerywając zajęcia.

Chciała wstać. Nie mogła.

Cisza zapanowała w eleganckim gabinecie pana dyrektora. Tem większa, że i jasnowłosa panna Lili przerwała nareszcie swą pracę. Słychać było tylko szelest przekładanych przez nią kartek.

Naraz zadźwięczał telefon. Pan dyrektor chwycił skwapliwie słuchawkę.

— Tak... jestem... tak... — mówił spokojnie, swobodnie.

Ponownie cisza zalegla gabinet.

— Niech się pani tak długo nie namyśla — odezwała się naraz utleniona panna Lili. Wstała i składała zapisane arkusze. Była niewysoka ale zgrabna.

Siedziała nadal nieruchoma.

Pan dyrektor sięgnął znowu po papierosa, i już miał coś mówić, gdy telefon zadzwonił powtórnie.

— Zaraz?... koniecznie?... Dobrze, dobrze. Ha-ha-ha! — zaśmiał się serdecznie.

FRANCISZEK GROTT:

W NIEDZIELĘ

Pola — jak chleb ustom, jak kłosy dłoniom — bliskie.
Trudno polom bez deszczów kwitnąć i zielenić —
zawisło słońce skośnie roziskrzonym dyskiem
nad pól oddechem krótkim — żytniem przarażeniem.

Błyszczą blaskiem pokłute drzew drżące obłoki,
w przestrachu tkwią po usta zszarzałe i zmięte. —
Wpatrzyła się wieś w niebo źrenicami okien. — —
Drogą w piachy rzuconą czarni i odświętni
idą chłopi rzędem trud dni sześciu
pod cieniem Boga skryć. — — —
— — Zahuczało chorałem, zatargało przestrzeń —
w kadzidlanym wzlocie ludzi: — proch i pył — — —
proszą dzwonki srebrne ziarnkami rożańca: —
od gniewu nawałnic, od ognia, posuszy,
od raka na drzewach, mąru, szarańczy,
od ciosów gradu tłukących w miazgę zasiew — — —
Wstrząsnął dreszcz ludźmi, dzwonki przestały prószyć.
Zakotłowało nagle w głów zbitej masie
pod krzyżem ręki wykwitłej z białych dymów. — — —

Zapachniało chlebem nad głodnych pól równiną.

ALFRED KOWALKOWSKI:

W POŁUDNIE

Skąpany w falach traw wełnistych
Pochłaniam ciałem jasność niebios.
W żar światła wplótł się ptaków szczebiot.
Ja go nie słyszę — ciszy mistyk.

Powietrze życiem świat przesyca
I promienieje w barw tysiącach.
Ale się czai w niem dusząca
Pocieszycielka ma — tęsknica.

Zielenią woni las mnie okrył
I liśćmi szepce baśń radości.
Lecz wszystko w ciężką czerń uprościł,
Wzrok zabłąkany, łzami mokry.

Wiruje w piersi glob mej duszy —
Wolnością nie wystrzeli z cieśni.
Nic pieśni już nie ucieleśni:
Zostanie we mnie — ktoś ją zgłuszył...

Zdaleka jestem — snów przybłęda —
Rzucony w krwawość słońca cieniem.
Między błękitem a podziemiem
Wiszę rozsnuty w myśli przędzach.

Smutkiem karmiony zamiast chleba
Samotność do swych ust przyciskam.
I trwam w spokoju zimnych błyskach —
Ja — nieme serce w dzwonie nieba..

Przeprosił ją i wyszedł.

— Tylko na chwilę — zapewnił.

Siedziała ciągle jeszcze nieruchoma i oniemiała.

— Niech się pani tak długo nie namyśla — powtórzyła panna Lili. Podeszła do biurka i usiadła na jego krawędzi.

— Ja jestem na takich samych warunkach. Tylko że tam ten przystojniejszy od naszego dyrektora — szczebiotała. — No i nie lubi blondynek. Nasz dyrektor przeciwnie. — Sięgnęła do dyrektorskiej papierośnicy. — Ja jestem nawet młodsza od pani Zresztą pani materjalnie zdaje się nie bardzo — i ogarnęła oczyma jej wynędzniałą postać.

— — — — — — — — —

Poszła Placem i Wielką.

Dął zimny wiatr, pod szyją przytrzymywała uporczywie rozłażący się kołnierz.

Zatrzymała się przed „Piękną Panią".

Przejrzyste jak siateczka pończochy nie miały ceny.

— Najmodniejsze — przeczytała, na swoje odbicie, wyprostowała się, ale wnet pochyliła się znowu jak zawsze i powlokła się dalej.

Przed redakcją jak zwykle tłok. Ludzie cisnęli się przed wystawionemi w oknach gazetami, pchali się do ogłoszeń „Wolnych miejsc."

JÓZEF BRZEZIŃSKI:

„SALON 35"

Wystawą rysunków i akwarel, zorganizowaną na czerwiec—lipiec zakończył „Salon 35" pierwszy rok swojego istnienia. Salon ten jest szczególnie ważną placówką kulturalną w Poznaniu wobec likwidacji IKS-u. Wszystkie wystawy czy to pokazujące prace nowych talentów (Spychalski), czy czołowych malarzy współczesnej polskiej plastyki, stały na wysokim poziomie. W ciągu roku było ich kilka. Wystawa Tytusa Czyżewskiego, obejmująca 40 płócien, dała przegląd prac czołowego modernisty polskiego, wychodzącego od założeń kolorystycznych w specyficzny sobie świat wizyjny. Tragicznie zmarłemu Karolowi Larischowi członkowi „Pryzmatu" urządzono pośmiertną wystawę zbiorową jego dzieł. Z „Kapistów" wystawiał czołowy przedstawiciel grupy Józef Czapski. Z malarzy poznańskiej „Plastyki" widzieliśmy Dołżyckiego Hannytkiewicza. Pierwszy pokazał końcowy swój dorobek kształtujący się na płaszczyźnie koloryzmu. Wystawa Dołżyckiego była tym ciekawsza, że ujrzano znanego malarza na nowej drodze ku wzbogaceniu przedewszystkiem kolorystki. A. Hannytkiewicz dał retrospektywny rzut od wczesnych lat. Z wystaw zbiorowych oglądaliśmy zdobycze malarstwa kolorystycznego wykształconego na Zachodzie we Francji w wystawie „Zwornika", będącego częstym gościem w Poznaniu. Jan Spychalski ukazał się jako nowy i ciekawy talent, tym więcej, że bez studjów malarskich czy „akademii".

Ostatnią wystawę jaką zorganizował salon to wystawa rysunków i akwarel. Wystawa dawała możność oglądania prac impresyjnych, powstałych niewątpliwie pod pierwszym działaniem wrażenia czy impulsu. Szkice takie zwykle pozostają w pracowni jako studia przygotowawcze do krystalizującego się dzieła skończonego, względnie jako objawy psychiki, zmuszonej własną autonomią do wypowiadania się. Częstokroć są to pierwsze koncepcje twórcze artysty, chociaż niektóre z nich są już dziełem skończonem.

Wystawę obesłali znani malarze współcześni w ilości 94 prac. Były więc rysunki Czyżewskiego, tusze Taranczewskiego, Tomorowicza,

Graffa, Fenerringa (tusz z sangwiną); rysunki ołówkowe Millera, Polańskiego, Kononowicza. Akwarele wystawili Czapski (Cwiklińska, Solski, Roland w „Zemście"), Potworowski, Pękalski, Winkler. Do ciekawszych prac należało by zaliczyć obrazy Wilkanowicza, Grabowskiego, Potworowskiego. Z przedstawicieli malarskiej awangardy był na wystawie H. Stażewski z kompozycją unistyczną.

Szkoda tylko, że we wystawie nie brała udziału młoda generacja artystów poznańskich z najintymniejszymi przejawami twórczości tym więcej że wystawia na ogół bardzo rzadko.

Kierownictwu „Salonu 35" należy się za pierwszy rok wystaw szczere uznanie z życzeniem utrzymania tak kulturalnej placówki mimo trudnych warunków na dalszy okres wytężonej pracy. Pozwolić człowiekowi uciec od szarzyzny życia w kraj wizyj, symbolicznych przejawów ducha.

WŁADYSŁAW MARCINKOWSKI:

„ZDAWINY"

Gleba kujawska odznacza się nietylko żyznością gospodarczą, ale i pod względem kulturalnym ma wartości twórcze. Na tym ciężkim czarnoziemiu rodzą się talenty tem znamienniejsze, że wyzwolone z pośród elementów społecznie niewyrobionych i kulturalnie niezorganizowanych. Ziemia rodzinna Kasprowicza i Przybyszewskiego jest jednocześnie matką szeregu pisarzy ludowych, których nazwiska coraz częściej docierają do świadomości opinji literackiej. Do tych samorodnych talentów należy również WŁADYSŁAW MARCINKOWSKI, którego obecnie przedstawiamy czytelnikom „Wici Wielkopolskich". W literaturze samouk, rodowity Kujawiak, osiadł obecnie po pracowitym żywocie na zasłużonej emeryturze w Bydgoszczy i daje się poznać ze swych prac literackich z łamów perjodyków i pism codziennych. Największą wartością jego pracy pisarskiej jest niewątpliwy autentyzm folklorystyczny i gwarowy. Te właśnie walory odkrywające piękno ziemi kujawskiej i żywotność ludu kujawskiego, skłoniły nas do opublikowania poniższego, z większej całości, a mianowicie z przygotowywanej do druku powieści kujawskiej „Na Wyłomie", wyjętego fragmentu. Red.

...Hej zdawiny!... W sobotę bydom zdawiny!... — Rozległo się znowu po całej wsi.

Kobiety szeptały sobie zazdrośnie, dziewuchy jazgotały wesoło i niby życzliwie przypochlebiały się młodej żeńcowej. Chłopaki z samej ochoty już sobie przytupywali, a chłopy szykowali gardziele czując w powietrzu zapach gorzoły... A nawet i dzieciarnia rozkrzyczała się radośnie. Nic dziwnego, przecież zdawiny nie co sobotę się zdarzały.

Właśnie w tydzień po Tomkowem powrocie z wojska, niespodzianie zdarzyły się zdawiny.

Ludziska mieli się z czego cieszyć tymbardziej, że to ich tak nagle zaskoczyło. Bo tu raptem gruchnęła wieść, że do Hanki Zającówny zaszedł w rainy Stachu Kurek — znany na całą okolice toniecznik — z Dużej Kołudy. Że to Zającowie niezgorzej się mieli, a Hanka, była ich pierwszą córką na wydaniu, to też tak wesele jak i zdawiny, zapowiadały się dość hucznie.

I odbyła się ta uroczystość, według wszelkich prawideł tj. w sobote przed pierwszą zapowiedzią, a już z taką wysadą jakiej najstarsi ludzie niepamiętali.

Już od samego południa wszystkie kobiety zabrały sie tak do roboty, że jeszcze przed zachodem słońca, miały wszystko do biesiady gotowe. Zanim pierwsi goście zaczęli się schodzić, już na ponakrywanych białem płótnem stołach, piętrzyły się na kamiennych miskach całe stosy pytlowego chleba z masłem, a z białych salaterek z gęstej, na kwaśno zaprawionej śmietany, wychylały swe ciemne boki całe masy tłustych, wymoczonych i gustownie oprawionych śledzi. A wszystko tak jędrnym pieprzem i złotawem bobkowym liściem doprawione, a talarkami cebuli ozdobione, że jeno brać i jeść.

Na pierwszem miejscu, tuż obok Państwa Młodych, gdzie zasiadł włódarz ze swoją żoną — sama włódarka miała Hanke czepić — podano białe, w różnorakie wzora pomalowane talerze, reszta zaś, to jest młodzi, mieli ucztować, wprost ze salaterek.

W izbie wzrastał coraz większy tłok i rozgwar, a tu coraz nowi goście nadchodzili. Jednak, że to Kij, który nieomal zjadł swoje zęby na drużbowaniu, nad wszystkiem czuwał, umiał i dziś sobie poradzić. Dla każdego gościa już miał miejsce upatrzone, wiedział gdzie i kogo bez uchybienia godności i starszeństwa usadzić.

Zdawiny były jakby samą przygrywką do wesela. Znający na tem ludzie już podług pozajmowanych dzisiaj miejsc, dokładnie wiedzieli, którzy i jakie stanowiska na weselu będą zajmować. Która kobieta Młodą Panne oczepi, które jej przy tym obrzędzie będą asystowały... a tak samo i z młodzieżą. Jeno z dziewuchami to było trochę spierki, a nawet sam Kij znalazł się w niemałem ambarasie.

Zającowo koniecznie chciała, aby Nastka była Hance do prawego boku, co znowu z wiadomych powodów było Kijowi nie na ręke. Według swego planu, to chciał tak urządzić aby Jagna z Tomkiem byli do prawego, a Stachu i Nastka, do lewego boku. Lecz Zającowo, która miała w ostatnim czasie dość własnego kłopotu, o jego zamysłach nie wiedziała, uparła się koniecznie na swojem.

— Nastka — powiada — była zawdy jei — niby Hanki — nojleps ą przyjaciółkom i ona musi być do prawego. — Ale mówiac to, nieśmiała prawdy wyznać. Chodziło jej zapewne o to, że Jagna była jej za biedna. Kij próbował wyperswadować jak umiał, lecz kobieta uparła sie i tyle. Dopiero powaga włódarza dokonała tego, że sie po Kijowej woli stało. Doświadczony starzec w lot poznał o co sie pysznej kobiecie rozchodzi, więc starał się tymwięcej rozbudzić w niej jej miłość własną, a tak jej umiał ładnie do serca przemówić, że kobieta, sie wnet na wszystko zgodziła.

— Widzisz — powiada — że takij dziewusze jak Jagna, co to nimo ani matki ani ojca jeno jest sama jak ten kołek w płocie, niemożna tego jei sieroctwa dać odczuwać. — A że mówił jej na „ty" to nic dziwnego, bo tak ona jak i nieomal połowa całej wsi, byli to jego chrześniacy.—

Kobiecie aż łzy w oczach ż rozczulenia stanęły, a stary jeno poprawił kapelusz i perswadował dalej.

— Czy to nie bydzie dla ciebie honor jak ludzie przed kościołem zoboczom wesele i sie zadziwią — przecie ludziom, to wszystko podpadnie. — Patrzta, bydom mówić, jak to ładnie, że tako bogato Zającowo a takom bidnom sirotom niepogardziła, jeno ją wybrała na starszom druhne!...

Kobieta już się nie sprzeciwiała, jeno podniosła fartuch do oczów i — pocałowała starego w ręke.

— Ha no, — szepnęła — boć wasz rozum jest inakszy jak mój... Kiej tak mówicie, to niech już bydzie.

— — — — — — — — —

Przyjemny zapach jakowcu, którym wykadzono izbe, zmięszany z kwaskowatym zapachem świeżego chleba i ostrych przypraw, już wszystkich podniecił. A, kiedy zaczęto na stoły stawiać stufowe flachy wódki, wina, likierów, to chłopy z uciechy aż nosamy pociągali.

Na dany przez Kija znak, wszystko ucichło. On zaś uroczyście stanął pomiędzy stołami przeżegnał dary boże, wypowiedział śliczną oracją.

Najprzód przemówił do obu Państwa Młodych, do Panów Ojców, do Paniów Matek potem do wszystkich, a nawet i tych śledzi, co z pobladłemi oczami z misek wyglądały, nie pominął.

Kiedy wziął kropidło i święconą wodą pokropił srebrne pierścionki co na białem talerzu wśród mirtowego wianuszka leżały, to wszystkim kobietom aż łzy w oczach stanęły. A Hance to się już jak groch po sznurówce kulały. Wprawdzie później dziewuchy sobie opowiadały, że ona trzymała pod stołem rozkrojoną cebule i te ukradkiem do oczu przytykała... Jednak co do tego, to tam pewności nie było...

Włodarz, z namaszczeniem, włożył obu młodem pierścionki na serdeczne palce, a dopiero potem Kij, zachęcił wszystkich do jadła.

...Zaświergoliły skrzypce, zahuczały basy i... zaszczękotały blaszane łyżki.

Najprzód jednak, poszły w ruch kieliszki i zaczęły krążyć dookoła. Roześmiały się wszystkie gęby, zakurzyły się czupryny... Zaśpiewały wesoło kobiety.

Oj,... już nasza! Drą się i klaskają w ręce.

Hej... jeszcze nasza! Odkrzykują hurmem dziewuchy. — A chłopaki już na dobre pałaszują łyżkami po miskach i trzaskają w podkówki aż miło. Każdy chłop, kiedy spory kielich wygruchnie, splunie sobie przyzwoicie pod stół, to odchrząknie ze smakiem i kielich podaje dalej.

— Boże Ci dej zdrowie Michale!.. Pij z Bogiem Kuba!

— Na zdrowie wom, Kozieł, pijcie z Panem Jezusem! — i drżącą ręką po kieliszek sięga.

— Dej Wom Boże zdrowie wudarzyczku!

— Gustuje! — odparł krótko, bo chociaż kieliszkiem nie gardził, to jako przykładny człowiek, nie lubił, wzywać Imienia Pana Boga na daremno...

...A zabawa, już się na dobre rozkołysała. Wśród wybuchów radosnych okrzyków, piosneczek i śmiechu, słychać głośne chrupanie śledziowych chrząstek. Wszystko rozradowane, bawi się aż miło, a wszystko po swojemu, po kujawsku, po wiejsku... Już rozwinął swoje skrzydła jeden, zgodny, beztroski zgiełk i ten tak nastrojowo do chłopskiej duszy przemawiający hałas, co to każe ludziom zapominać o wszyskich troskach i zgryzotach codziennego życia. — Ten nastrój powabny, ten miły kujawski śpiew, ta chłopska ochota porwały za sobą wszystkich, młodych i starych, tak chłopów i chłopaków jak i kobiety i dziewuchy.

A nawet ten tak zawsze poważny włodarz, nie dał się w uciesze wyprzedzić. Brzdęka sobie łyżką po talerzu i w takt muzyki cicho podśpiewuje:

Hej dziś dziś, a nie jutro
Do dziś wesoło jutro smutno
Dzisiaj trzeba świata użyć,
Jutro znowu Panu służyć...

A dający na wszystko baczenie stary Kij, z białym ręcznikiem pod pachą, cały spocony, jak tur czerwony, chodził pomiędzy stołami i uważał...



PIOTR CHMURA: „MODLITWA“ (Drzeworyt)

MIECZYSŁAW DEREŻYŃSKI:

CHODZI O GDAŃSK I ŚLĄSK!

Na marginesie książki Jana Kwiatkowskiego

Obecnie mieszka w Orłowie Morskiem. Zowie się: Jan Kwiatkowski. Drukarz, dziennikarz, literat ludowy, działacz społeczny i narodowy. Wypoczywa po znojach swego pracowitego żywota, spędza chwile starości w zaciszu, zdala od gwarnego kotłowiska ludzi dzisiejszych, nowych. Pisze swe pamiętniki, wystukuje na maszynie zapomniane fakty z lat zaborczych, wywołuje echa bezkrwawych walk z prusactwem. Nieznany żołnierz niepedległościowy z niwy wielkopolskiej, jeszcze jeden z tych nazbyt skromnych bojowników narodowych, którego nazwisko trwale zapisało się w księdze dziejów Śląska i Gdańska.

Jan Kwiatkowski urodził się dnia 27 grudnia 1869 r. w Poznaniu z ojca Tomasza i matki Teresy z Jaruszewskich. Po ukończeniu nauk szkolnych, przeszedł praktykę graficzną w różnych drukarniach krajowych.

Uczył się w drukarni „Dziennika Poznańskiego" trzy lata, a rok w dawnym „Kurjerze Poznańskim", gdzie też nauki dokończył. Z „Dziennika Poznańskiego" wyszedł, ponieważ nie mógł się pogodzić z zapatrywaniami ociężałego faktora Fr.Elsnera, następcy Piotra Krzyżańkiewicza. Po ukończeniu nauk w „Kurierze Poznańskim" kierownik drukarni Wojciechowski mimo wyzyskania go przez cały rok, gdy był już wykwalifikowanym i szybkim pracownikiem, nie uważał za stosowne za należytą opłatą zatrudnić ani jego, ani spółwypisowca Bolesława Winiewicza. Poszedł więc sobie. Zrzędu pracował w „Posener Zeitung" (Decker) i „Orędowniku". W kwietniu 1890 r. rozpoczął swą działalnoś w zakładzie wydawniczym Karola Miarki — syna w Mikołowie na Górnym Sląsku, gdzie przy boku właściciela zakładu miał sposobność rozwinąć swe zdolności w dziedzinie wydawniczej i literackiej oraz uzupełnić nabyte już wiadomości.

Do Mikołowa wskazał mu drogę dobry znajomy jego szwagra Władysław Pogorzelski. U Miarki rozpoczął czytaniem korekty, opracowaniem „jarmarków" do kalendarzy, calendarium,przygotowywaniem i tłumaczeniem ogłoszeń płatnych, opisami miejsc cudownych, układaniem stuletniego kalendarza itd. Z czasem zyskał tyle zaufania, że powierzono mu układanie książek do nabożeństwa, śpiewników itd.

Osobiście był w Mikołowie od 6 kwietnie 1896 do 1 października 1911 roku. Początkowo jako korektor, następnie redaktor, a w końcu kierownik literacki. Karol Miarka od samego początku wprowadzał go w arkana wydawnicze. Z biegiem lat zebrał, resp. ułożył następujące książki do nabożeństwa: „Bóg z tobą", „Droga do Nieba", „Panie, zostań z nami", „Pobożny katolik", „Katolik w modlitwie", „Módlmy się" „Zupełny Spiewnik" i wiele innych. Kwiatkowski ułożył także „Kantyczki" i „Kolendnik", a tylko z nieuzasadnionej skromności nie podawał własnego nazwiska. Jest to jednak jego praca duchowa. na co do dzisiaj chowa dowody. Porobił różne skróty z powieści Rzewuskiego. — Z „Rycerza Lizdejki" stworzył powieść pt. „Dwaj Kniazie" z „Zamku Krakowskiego" powstali „Bracia Zborowscy". W kalendarzach Miarki były dokonane przez Kwiatkowskiego skróty całej „Trylogii" Sienkiewicza. Specjalnie lubował się w literaturze ludowej, naówczas na Slązku bardzo jeszcze niedomagającej i pozostawił w wydawnictwie Miarki liczne po sobie prace. Jako długoletniemu redaktorowi w temże wydawnictwie podlegały jurysdykcji jego wszystkie nowe dzieła tłoczone w oficynie mikołowskiej.

W Mikołowie znalazł się początkowo w kołach szczerze katolickich bez zabarwienia nacjonalistycznego. Później z tego wybrnął. Zbytecznie obarczany pracą od rana do późnej nocy, nie mógł udzielać się społecznie. Do polskich towarzystw jednak należał, pełniąc nawet funkcje w zarządach. W czasach mikołowskich był mężem zaufania Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Katowicach za pośrednictwem dr. Zygmunta Seydy.

W 1913 r. nabył na własność „Gazetę Gdańską", z którą przetrwał najtrudniejsze chwile jej istnienia. Były to czasy wojenne, z każdym dniem przynoszące wydawnictwu nowe trudności. Jako wydawca i redaktor „Gazety Gdańskiej" sam jeden był uwięziony z Polonii Gdańskiej w pierwszych dniach wojny. Na komendanturze policji oświadczono mu, że odpowiada za czyny gdańskich Polaków. Pomimo gróźb i szykan nie upadł Kwiatkowski na duchu, lecz po opuszczeniu murów więziennych, pielęgnował dalej — wierny swemu zadaniu — ową jedyną wówczas placówkę oświatową w Gdańsku. Przeciwnikom jego nie udało się zgnieść wydawnictwa nawet wtedy, gdy Kwiatkowskiego, jako mężczyznę 47-letniego, powołano w szeregi wojska pruskiego. Nie udało się to nawet wówczas, gdy w roku 1918 banda pruska napadła na lokal „Gaz. Gdańskiej", niszcząc cenne rękopisy i zbiory wartości 1900 dolarów, za które ich właściciel po długim procesie otrzymał ekwiwalent, odpowiadający wartości dwu i pół dolarów.

Równocześnie z wybuchem rewolucji zamienił Kwiatkowski „Gazetę Gdańską", dotychczas wychodzącą trzy razy tygodniowo, na pismo codzienne i doprowadził ją do najwyższego rozkwitu. Notarialny akt z owego czasu poświadcza nakład 25 557 egz. Rozwój taki nie pozwolił mu nadal pracować o własnych siłach i dlatego za namową pewnych czynników założył Tow. Akcyjne, mniemając, że w ten sposób doprowadzi wydawnictwo do jeszcze większego rozwoju. Zamysły jego spełzły jednak na niczem, gdyż jednostki, nie rozumiejące celów wytkniętych, a chwilowo mające w Towarzystwie przewagę, zniszczyły jednym zamachem długoletnią pracę. Skutki takiego postępku odbiły się na społeczeństwie polskiem w Gdańsku bardzo dotkliwie, a Kwiatkowskiego przyprawiły o depresję moralną i nie małą szkodę materialną. Po takiem nie miłem przejściu Kwiatkowski zajął się troskliwie pozostającą pod jego zarządem „Drukarnią Gdańską", gdzie pozostawał do roku 1933.

Wytężona praca zawodowa nie przeszkadzała Kwiatkowskiemu w pracy społecznej. Zajmował się towarzystwami, urządzał z wielkim sukcesem przedstawienia amatorskie Po wojnie wspólnie ze śp. Julianem Dobrowolskim zreorganizował Zjednoczenie Zawodowe Polskie w Gdańsku, dając mu początkowy przytułek we własnych lokalach. Był także spółczynnikiem zwołania Rady Ludowej i od początku członkiem Zarządu. Należał do zastępczej Komisji Ustawodawczej Gdańska, należał do pierwszych polsko-gdańskich radnych miasta, był prezesem Gminy Polskiej w Gdańsku i pod jego kierunkiem i za jego staraniem powstał pierwszy „Dom Polski" w Gdańsku.

Niedawno ukazała się książka Jana Kwiatkowskiego o polskim Gdańsku przedwojennym*). Publikacja cenna wartościowa formalnie i merytorycznie. Ileż tam nazwisk działaczów gdańskich. faktów, cyfr, dokumentów barbarzyństwa pruskiego! A niektóre karty tej książki, opisującej treściwie życie Polaków w Gdańsku przedwojennym, jakże są słoneczne, jakąże tchną otuchą i wiarą, że Gdańsk polski znów nasz będzie. Koniecznie do ręki trzeba wziąść tę broszurę, która jest i pamiętnikiem wybitnego działacza gdańskiego i wycinkiem z historii Gdańska polskiego. Autor ze znajomością i ukochaniem rzeczy kreśli obraz Gdańska z lat 1913—1914. I naprawdę z rozrzewnieniem czyta się karty tej publikacji, którą zainteresować się winno całe społeczeństwo polskie. Dank szczery i uznanie należy się jej uzdolnionemu i zasłużonemu autorowi.

Zaznaczamy wreszcie, że nakładem J. Kwiatkowskiego mają się ukazać dalsze części jego benedyktyńskiej rozprawy o Gdańsku. Część II gotowa do druku. Część trzecia rewolucyjna na ukończeniu. Część czwarta, więcej znana młodemu pokoleniu, rozpoczynająca się z dniem 10 stycznia 1920 r., jest w przygotowaniu. Kwiatkowski posiada również spis polskich i zniemczonych nazwisk mieszkańców Gdańska z roku 1913.

Na wydawcę czeka też jego interesująca rozprawa o życiu Polaków na Slązku Górnym XIX i XX wieku (Mikołów, Bytom, Racibórz — drukarstwo, dziennikarstwo, literatura śląska — ruch społeczny, polityczny, oświatowy).

I tu mała uwaga: Czy znajdzie się wydawca, który zajmie się opublikowaniem tych cennych prac?

---

*) „Polski Gdańsk w czasie przełomowym". Część pierwsza — Przed wojną światową (1. 4. 1913 — 1. 8. 1914). Orłowo Morskie 1935. Druk B. Szczuki, Wąbrzeźno 8⁰, str. 40, z portretem autora.

STEFAN WOJCIESZAK:

MATKA BOSKA TURSKA

Cóż za dziw, że Tursko wioska,
Gdy tak chce Opatrzność Boska,
Twojem, o Panno, Imieniem słynie,
W najodleglejszej krainie.

(Z pieśni o M. B. T. p. t. „Przedziwna Boga Rodzico")

Dzięki nowemu podziałowi administracyjnemu państwa wzbogacił się niedawno powiat jarociński, kosztem b. powiatu pleszewskiego o dwie szczególnie daleko znane miejscowości: — Tursko i Gołuchów.

Każda z tych wiosek z odmiennych zupełnie względów słynie bowiem nietylko w województwie poznańskiem, ale i szeroko poza jego granicami.

Tursko — w olbrzymim, pięknym kościele parafjalnym — przechowuje skarb bezcennej wartości duchowo-religijnej — cudowny obraz Matki Boskiej i jest jakoby wiejską Częstochową Wielkopolski.

Gołuchów zaś ustalił sobie daleko sięgającą sławę dzięki bogatemu w drogocenne zbiory okazów kultury i sztuki Muzeum XX. Czartoryskich.

Te dwie sławetne wioski leżą na wschodnich krańcach województwa poznańskiego i pow. jarocińskiego — pomiędzy Kaliszem a Pleszewem. Są to okolice naprawdę urocze i hojnie uposażone w przyrodzone ozdoby.

W niniejszym artykule pragnę podać krótką historję Turska, a raczej — dzieje jego klejnotu — kościoła z cudownym obrazem. (O „Zamku Gołuchowskim i jego zbiorach" napiszę osobno.)

Tursko, rozległa wieś wielkopolska, rodowe gniazdo niegdyś możnej rodziny Turskich, już dawno miało swój kościółek parafjalny pod wezwaniem św. Andrzeja. Stał on na wzgórzu, zajętem obecnie przez „stary" cmentarz. Trudno jest dociec, kiedy ten drewniany kościółek powstał, gdyż brak jest o nim jakichkolwiek danych historycznych: — tak podań ustnych, jak i dowodów pisanych. Pewnem jest tylko, że kościółek ten padł pastwą pożaru około roku 1600.

Odtąd przez lat prawie 100 proboszczowie z Gołuchowa zarządzali parafją Turską. Dopiero prymas kardynał Radziejowski, jako arcybiskup gnieźnieński, prawem sobie służącem (jure devolutivo) w r. 1701 prezentował na plebanję w Tursku X. Wojciecha Lidnarskiego. Po nim, prócz dwóch proboszczów bardzo krótko rządzących, nie było stałych pasterzów. Nakoniec w r. 1753 objął ster parafji X. Kazimierz Górzewicz, za czasów którego stało się owo cudowne zdarzenie, które zainicjowało wybudowanie nowej, potężnej świątyni Pańskiej.

Kilka kilometrów na północny-wschód od Pleszewa leży wioska Lenartowice. W drugiej połowie XVIII wieku żył tam gościnny — Jan Biadała. Celem zdobienia swego domu nabył on nieduży obraz Najśw. Maryi Panny z Dzieciątkiem w towarzystwie św. Michała, św. Barbary i św. Katarzyny męczennicy.

Obraz ten, wymalowany wodnemi farbami na zwyczajnym papierze, trzy lata upiększał mieszkanie ubogiej, lecz pobożnej rodziny. Ale gdy Biadała zauważył, że obraz zwilżał, zdjął go ze ściany i dnia 9 czerwca 1764 roku wywiesił — na gałązkach od grochu pod strzechą swoją, aby wysechł. Było to w przed-dzień Zielonych Świąt. I kiedy o godzinie trzeciej dzwon kościelny wzywał parafjan spiżowym głosem na nieszpory — stał się niezwykły wypadek, który na licznych widzach wywarł ogromne wrażenie: napełnił ich serca zdumieniem, a równocześnie — bojaźnią.

Obraz bowiem wzniósł się ku miejscowemu kościółkowi, zatrzymał się nad nim, błogosławiąc mu chwilowem znieruchomieniem, potem wzbił się wyżej w powietrze i jął się oddalać... Płynął w przestworzach nad rozległemi płachtami urodzajnych pól, mijał kwieciste kobierce łąk, szybował wysoko nad ciemnozielonem morzem lasów i — po przybyciu do Turska wobec wielu świadków na czterech końcach arkusza oparty, spoczął na piasku, gdzie teraz stoi statua Matki Boskiej Turskiej w t. zw. ogrójcu.

Niewątpliwie miał to być znak, że Matka Najświętsza po puszczy życia błądzącym chce tu otworzyć zdrój swoich łask niebieskich.

Podziw wszystkich widzów tego niezwykłego zdarzenia był tem większy, że dzień zupełnie był pogodny, bez powiewu wiatru, i że obraz nie był sam, ale obciążony zaczepioną do niego gałązką sosnową (jemiołą).

W tym właśnie czasie, po śmierci króla Augusta III, Władysław Pomian z Łubna Łubieński, Prymas Królestwa Polskiego, wezwał cały naród polski do kornego błagania Pana zastępów o szczęśliwy wybór nowego króla za wstawiennictwem Najśw. Maryi Panny i św. Michała. To też X. Prymas Łubieński na wiadomość o tym wypadku został wzruszony do łez.

O tem niezwykłem zdarzeniu szybko dowiedziano się w całym kraju. Wkrótce potem było już Tursko miejscem licznych pielgrzymek.

Pobożni pątnicy znaleźli tu odrazu źródło łask i cudów.

I czem to ustronie stało się od tego czasu dla strapionych, świadczy starodawna pieśń pobożna:

Nadziejo nas utrapionyeh,
Zewsząd nieszczęściem ściśnionych,
Ty Panno w Turskim obrazie,
Ratuj-że nas w każdym razie!

Anna z Swinarskich Chlebowska, kasztelanowa Kaliska, starościna Liwska, dziedziczka Gołuchowa i Turska stała się odrazu wielką dobrodziejką i wielbicielką tutejszego miejsca świętego. Ona też udała się niezwłocznie do ówczesnego prymasa X. Łubieńskiego i prosiła go o wysłanie do Turska komisji, którąby zbadała prawdziwość wyżej opowiedzianego wypadku. Jej słusznej prośbie stało się wkrótce zadość.

Delegaci prymasa — X. Franciszek Ksawery Radoliński, oficjał kaliski, i X. Maciej Chylewski, kanonik kaliski i proboszcz w Opatówku, stwierdzili prawdziwość cudu — spisali protokoły i odebrali przysięgę od 26 świadków, poczem dekret konsystorza Łowickiego z dnia 24 maja 1765 roku zatwierdził cudowność obrazu.

W roku 1767 oprawiono obraz Matki Boskiej w piękną srebrną ramę i przykryto jego malowane tło srebrną blachą. Poszczególne postacie, a więc po prawej stronie obrazu umieszczona postać N. M. Panny z Dzieciątkiem, po lewej św. Michał, w środku u góry św. Barbara i na dole św. Katarzyna męczenniczka są przykryte ozdobnemi złotemi sukienkami. Dlatego też jedynie twarze święte są widoczne, ale wyraźnie można je ujrzeć tylko zbliska (o parę metrów), gdyż obraz jest nieduży. Zaznaczyć należy, obraz cudowny w Tursku jest kopją również cudownego obrazu N. M. P. w Maria-Zell w Wyższej Styrji.

Sława Turska, jak już wspomniałem, lotem błyskawicy rozeszła się po całej Polsce. Ze wszech stron przybywały tysiące pielgrzymów, tak że

---

Jest przecie okazja udostępnienia społeczeństwu ważkich materiałów historycznych i kronikarskich i z okazji tej polskie czynniki kulturalne winny skwapliwie skorzystać. Chodzi o Gdańsk i Śląsk!

Pora właśnie odpowiednia.

kościółek za czasów X. W. Lidnarskiego zbudowany był za mały i nie mógł wszystkich pomieścić.

Koadjutor ówczesnego proboszcza, X. d-ra Józefa Przyłuskiego, X. Jan Nepomucen Karpieński (ur. w r. 1749 w Kobylinie k/Krotoszyna — wychowanek OO. Jezuitów — um. 16. III. 1806 w Czerminie k/Pleszewa), który się najwięcej do świetności tego miejsca cudownego przyczynił, zajął się budową nowego kościoła.

Dnia 27 lipca 1777 r. położono kamień węgielny pod nowy kościół, który do dziś dnia w Tursku stoi i w swych podziemiach przechowuje drewniane, proste trumny ze szczątkami Jana Biadały i jego rodziny.

Początkowo wielkie sumy na budowę kościoła łożyła wyżej wspomniana pani kasztelanowa Chlebowska, lecz zaledwie mury stanęły, umiera ta bogobojna ofiarodawczyni dnia 23. IV. 1783 roku, licząc lat 73 wieku. I od tego czasu proboszcz turski musiał innemi drogami zdobywać potrzebne fundusze na dalszą budowę. Ofiary ściągał z całej Polski zapomocą braciszka zakonnego.

Zakonnik ten, jadąc pewnego razu w Lubelskiem sanną po kweście, został pod Jasieńcem przez woźnicę swego, chciwego łupu, z tyłu wystrzałem z pistoletu ugodzony w głowę, tak że mu oko na wierzch wyszło. Gdy lekarze nic pomóc nie mogli, westchnął do Matki Boskiej Turskiej i — cudownie został uzdrowiony. Zdarzenie to przedstawia obrazek, wymalowany na tabliczce drewnianej, wiszącej do niedawna na filarze przy wejściu do kościoła, a obecnie przechowywanej w skarbcu kościoła turskiego.

Pod obrazem na tej samej tablicy czytamy tego wypadku opis następujący:

Któż się nie zdziwi, wdzięczność grubo zapomina!
Pod Jasieńcem w Lubelskiem sługa strzela do pana,
Rani sromotną kulą, i prosto w jego głowie
Oko jego wysadza, i dalej w gotowie
Porywa sztukę drzewa do osobnej ręki,
Aby srogiej nad panem tak dokonał męki.
Leży śmiertelnie chory, doktór odstępuje,
A Marya Turska leczy, oko naprawuje.

Ogromny kościół turski, zbudowany w stylu romańskim, odznacza się monumentalnością i bogactwem architektury. Jednakże brak odpowiedniej wieży obniża w wielkim stopniu zewnętrzny efekt architektoniczny kościoła, którego 3 nawy, mieszczące 6 ołtarzy, opierają się na sześciu potężnych filarach.

Między filarami wielkiego, majestatycznego ołtarza jest nisza, czyli framuga, wybita drogocenną karmazynową materją, wysoka blisko 4 m, szeroka 2 m, głęboka 34 cm. W tej niszy umieszczony jest cudowny obraz M. B., obwieszony z wszystkich stron licznemi wotami.

W zwykłe dnie cudowny obraz jest zasłonięty innym wielkim obrazem, przedstawiającym tajemnicę Zwiastowania Najśw. Maryi Panny pendzla, Jaworskiego.

28 września 1786 r. z okazałością przeniesiono cudowny obraz do nowego kościoła.

Była wtedy uroczystość, która pod względem świetności tylko koronacji obrazu M. B. Częstochowskiej za Jana Kazimierza ustąpićby mogła.

O zmierzchu, przy nieustannem biciu z armat i strzelaniu asystującej milicji i wojska, któremi dowodził pułkownik Hoffmann z regimentu J. W. Ożarowskiego z Kalisza, przy odgłosie muzyki i śpiewu zgromadzonych wiernych, do łez pobudzonych przeniesiono cudowny obraz ze starego kościółka do nowej świątyni.

Ta wspaniała uroczystość ściągnęła z dalekich stron 20 tysięcy wiernych i 326 kapłanów.

9 tysięcy osób przystąpiło wtenczas do stołu Pańskiego, a czterech luteranów przeszło na katolicyzm.

W końcu zaznaczyć należy, że na miejscu, na którem spoczął cudowny obraz stoi później dopiero wystawiona kolumna z posągiem Matki Boskiej Turskiej z Dzieciątkiem, wysokości 1 m 13 cm. W trzech bocznych framugach tej kolumny umieszczone są 3 figury: św. Michała, św. Barbary i św. Katarzyny. Kolumna ta, opasana jest kolistym murem, obwodu 53 m, wysokości 3,5 m.

To wszystko tworzy t. zw. ogrójec, w którym rok-rocznie modlą się tysięczne rzesze pobożnego ludu, zwłaszcza wielkopolskiego.

Takie to są w krótkości opowiedziane dzieje klejnotu turskiego — cudownego obrazu Matki Boskiej.

Corocznie w trzydniowym okresie wielkiego odpustu zielono-świątkowego jest w Tursku bardzo rojno i gwarno.

W przyszłym roku spotęguje się niewątpliwie ten pobożny ruch, a to dlatego, że na ten czas projektowana jest uroczystość koronacji cudownego obrazu Najśw. Panienki Turskiej.

Z tej też okazji ukaże się w edycji książkowej popularna ilustrowana monografijka o Tursku i jego osobliwościach.

Krotoszyn.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.

Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.

Redakcja: Poznań, ul. Wszystkich Świętych 3. — Przedstawiciel redakcji prof. Wiktor Fabian.

Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński, ul. Grottgera 19 m. 13 — Tel. 8.45.48.

Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.

Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.